

ROZDZIAŁ PIERWSZY

LONDYN, MARZEC 1919 ROKU

Riley Purefoy nie myślał zbyt wiele o wojnie. Nie musiał. Ona była jego częścią. Gdyby inni o niej wspominali...

...ale z drugiej strony nie robili tego: ani weterani, którzy w większości szybko orientowali się, że nikt nie chce słuchać tego, co mogliby mieć do powiedzenia, ani cywile, którzy oddalali się niemal równie szybko, jak żołnierze milkli.

Niekiedy jednak pamięć podsuwała mu okruchy słów i zdań, czasem w gardle pojawiał się jakiś nieokreślony posmak. I ten niedający się odegnąć obraz wyplutych kawałków uszkodzonych przez gaz płuc na podłodze ambulansu, niezmiennie wymagający chwili bezruchu. W półtora roku po opuszczeniu bitewnych pól ciągle zdarzały się mu takie momenty, kiedy cisza wprawiała go w dezorientację, tak jak stały łąd konfunduje nogi marynarza. W jego uszach wciąż rozbrzmiewał głos Petera Locke'a, mówiącego: „W takim razie teraz ty tu dowodzisz, stary”. To zdanie wciąż

dźwięczało mu w głowie, ponieważ wiedział, że jakkolwiek nieprawdopodobne się to wydawało, w przeważającej części było ono prawdziwe. Teraz stery spoczywały w jego rękach.

Pomimo fizycznego kalectwa miał przecież wiele atutów – krzepki młody człowiek o jasnym spojrzeniu. Tak więc miesiące mijały, a on, jeśli już myślał o wojnie, to raczej o tej ewentualnej, w przyszłości, i o tym, jak jej zapobiec. O nienarodzonych dzieciach, które pragnąłby przed nią uchronić, i o braciach w cierpieniu, których sytuację chciałby poprawić. Widział spojrzenia innych ludzi, pełne litości i zwątpienia. Słyszał ciche (choć nie zawsze) westchnienia, jakie bezwiednie wyrywały się bliźnim na widok jego okaleczonej twarzy. Kiedy jakiś kierowca taksówki odjechał, ponieważ nie mógł zrozumieć jego słów, Riley ze wszystkich sił starał się wzbudzić w sercu współczucie dla zakłopotania tego człowieka zamiast naturalnej w takiej sytuacji wściekłości z powodu niekończących się upokorzeń.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak wielu ludzi uważa, że marny byłby z niego, nieszczęśnika, pożytek. Ale jeśli nauczył się czegokolwiek dzięki faktowi, że został roztrzaskany na kawałki i pozszywany na nowo, to właśnie tej jednej rzeczy: teraz jest najlepszy czas, by robić to, na co ma się ochotę.

*

Riley Purefoy i Nadine Waveney pobrali się pod baldachimem niedorzecznie bujnego kwiecia wznoszącym

się nad Londynem – miastem znajdującym się w stanie wojny tak długo, że nie bardzo już wiedziało, co ze sobą począć. Na ścianie w urzędzie stanu cywilnego wisiała tabliczka z napisem: „Zakaz rzucania confetti – ustawa o obronie Królestwa”. Płatki kwiatów nie przejmowały się jednak tymi obostrzeniami, wirowały w podmuchach wiosennego wiatru prawdziwą zamiecią, od której człowiekowi aż kręciło się w głowie, a potem zbierały się wzdłuż wilgotnych krawężników Chelsea we wściekle różowe zasy. Nadine, wciąż tak wychudzona, że nadal nie miesiączkowała, miała na sobie podkoszulek Riley, założony pod zebraną w pasie, kompletnie niemodną suknią ślubną Julii Locke sprzed wojny. Riley wystąpił w mundurze. Drużbą był Peter Locke, dawny dowódca Riley, wysoki, uprzejmy i niemal całkowicie trzeźwy. Druhną została kuzynka Petera, Rose, która specjalnie na tę okazję założyła białe rękawiczki, a obrączki niósł jego synek Tom, jasnowłosy symbol niewinności i szansy. Poza nimi nie było nikogo. Matka Toma, Julia, narwała w ogrodach Locke Hill wczesnego białego bzu i przekazała bukiet Rose, ale na ślubie się nie zjawiała. Nie czuła się dobrze, a może po prostu była zbyt zakłopotana. Upłynęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd sama przeżyła poważny kryzys. Ledwie kilka miesięcy dzieliło ich od tego wszystkiego.

Po ceremonii poszli do pubu po drugiej stronie ulicy, w którym, jak się okazało, Peter zostawił wcześniej dwie zdobyte w tajemniczy sposób butelki szampana Krug z 1904 roku. Rose miała na sobie kostium z ciemnozielonego tweedu, ten sam co na ślubie Petera i Julii

(choć nie uznawała za stosowne o tym wspominać), i w głębi ducha czuła dreszczyk podszytego wstydem podekscytowania, że oto przekroczyła próg pubu. Ceremonia była piękna, a dzień naprawdę radosny. Nawet jeśli ktoś żywił obawy o przyszłość tego pośpiesznie zawartego małżeństwa, jeśli lękał się o okaleczone dusze nowożeńców, nie mówił o tym głośno. To nie był dobry czas na podobne rozmowy. Nikt nie chciał nikomu o niczym przypominać. Zupełnie jakby wszyscy zdążyli zapomnieć o przeszłości.

*

Noc poślubną państwo młodzi mieli spędzić w domu matki Petera przy Chester Square, gdzie meble w wysokich pięknych pokojach wciąż były okryte pokrowcami, a żyrandole osłonięte płachtami białego płótna, ponieważ starsza pani nie odważyła się jeszcze na powrót ze Szkocji.

Do tej pory się nie całowali. Jakże by mogli? Przez całą długą, spędzoną spokojnie w Locke Hill zimę na przełomie tysiąc dziewięćset osiemnastego i tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku Nadine (tak nerwowa i krucha, o krótko przyciętych włosach) i on (okaleczony) chodzili objęci na długie spacery i spędzali całe dni na obitej perkalem kanapie, wciąż odwołując pójście do łóżka, ponieważ nie mogli pójść do niego razem, a nie chcieli się jeszcze rozstawać. Zapadli w bezruch, podobni cebulkom roślin ukrytym na czas zimy pod ziemią, powrócili do stanu odkrytej na nowo

niewinności, zupełnie jakby ich burzliwy romans nie został skonsumowany w trakcie tych pełnych swobody lat wojny.

To, że wojna się skończyła, a wszystko miało odtąd wyglądać inaczej, stanowiło w tym domu największe objawienie. Tyle że nikt, no może poza Rose, nie miał pojęcia, co teraz będzie. Choć w przypadku Rileya i Nadine pierwszą natychmiastową zmianą było to, że seksualna wolność, jaką niosła ze sobą groźba śmierci wisząca nieustannie nad ich głowami, rozplynęła się niczym sen nocy letniej. Ta ich czystość odrodziła się na nowo jakby mimowolnie, bez słowa komentarza między nimi. W tamtym okresie zdawało się to zapewniać im coś na kształt bezpieczeństwa, ale do nadejścia nocy poślubnej Riley stał się odrażająco tego świadomy, podobnie jak faktu, że właściwie nie ma pojęcia, co tak naprawdę sądzi na ten temat jego nowo poślubiona żona. Przypomniawszy sobie list, który otrzymał od Nadine w tysiąc dziewięćset piętnastym roku: „Riley, nigdy, przenigdy więcej nie waż się nie mówić mi, co się z tobą dzieje...”. Ale choć była świętą kobietą, a może właśnie dlatego że nią była, nie potrafił znaleźć właściwych słów i doskonale zdawał sobie sprawę z ironii losu w tej kwestii.

Na Chester Square zabrał ze sobą cały swój ekwipunek: grawerowaną mosiężną słomkę do picia, wykonaną z łuski naboju, prezent od Jarvisa z oddziału leczenia obrażeń twarzy w Queen's Hospital, gumową gruszkę do spryskiwania i płukania, małe gąbeczki na patyczkach do oczyszczania twarzy, miętowe płyny do płukania

ust na bazie alkoholu, prywatny zapas kryształków morfiny, który nosił przy sobie w małej żółtej puszcze po gramofonowych igłach zawsze i wszędzie, tak na wszelki wypadek. Na wypadek czego? zastanawiał się nawet. Na wypadek gdyby ktoś znowu odstrzelił mi szczękę?

Jego usta od tak dawna były obszarem nienaturalnych procesów – najpierw krwawego zniszczenia, a następnie skomplikowanej rekonstrukcji chirurgicznej – że właściwie wydawały się już do niego nie należeć. Jedzenie nadal sprawiało mu trudności i zajmowało dużo czasu. Żucie przychodziło mu z trudem, podobnie jak przełykanie, walka o to, by się nie udławić, nie zacząć się ślinić, chociaż nie zawsze zdawał sobie sprawę z tego, że się ślini, ponieważ nie mógł już polegać na zakończeniach nerwów. Próby odkaszlnięcia albo powstrzymania się od kaszlu. Uczenie się życia z niepokorną śliną i flegmą – chociaż w tej kwestii akurat zaszyły, dzięki Bogu, spore zmiany na plus – i akceptowania faktu, że nawet jeśli on nauczył się z tym żyć, innym zawsze będzie się to wydawało odrażające. Uczenie się przyjmowania od Nadine chusteczek. I akceptowania faktu, że pani Joyce, kucharka, z niekończącą się wielkodusznością i pomysłowością przygotowuje mu zupy, jajka na miękko i puddingi, przeciery, musy i budynie – jedzenie dla dzieci, myślał, a zaraz potem upominał się: weź się w garść. Po czym rzeczywiście brał się w garść. Nadal niezbyt chętnie jadał w towarzystwie innych. Zażenowanie obcych ludzi albo ich przesadna troska, rozważne, wystudiowane opanowanie Nadine, wszystko to go nużyło, na swój sposób

gorsze jednak było to, że zmuszał się do spokojnego ignorowania rozmaitych artykułów spożywczych, które wraz z wycofywaniem reglamentacji zaczynały powoli wracać na rynek – aromatyczne niedzielne pieczenie, proste, chrupiące sałatki, trudne do przełknięcia ciasta, upojnie pachnące, smażone na maśle ziemniaki, pieczone kurczęta czy świeży chleb. Bywały momenty, gdy obawiał się własnego oddechu, nadmiaru zebranej śliny, zdętwiałych, niewrażliwych warg, swoich własnych zmedykalizowanych ust w normalnym świecie. Czyścił je wręcz fanatycznie, a czasem na kilka dni zapadał w milczenie, choć wiedział, że mówienie to świetne ćwiczenie dla warg, więc powinien to robić, tak samo jak powinien jeść. Czasami zimą, już po ich ponownym spotkaniu, ale jeszcze przed ślubem, zachodził w głowę, co właściwie ma do zaoferowania Nadine.

Dom przy Chester Square był elegancki i cichy. Rose, ta wysoka, uczynna Rose, która opiekowała się nim w szpitalu, zostawiła dla nich w bawialni karafkę z whisky i kolację na zimno.

– Zjedz kanapkę – powiedział do Nadine.

Pasta jajeczna z rzeżuchą... Rose specjalnie przygotowała takie miękkie nadzienie, pomyślał. Wiedział, że ten gest stanowił wyraz uprzejmości i przywiązania, jednak w swojej tęsknocie za normalnością nie mógł zapanować nad poczuciem, że to również przejaw próby kontrolowania go, wyróżnienia... Och, Riley, to nie życzliwość Rose wyróżnia cię z tłumu innych, tylko twoje kalectwo. Był taki wdzięczny. Co prawda czuł się tym coraz bardziej zmęczony, ale nadal był wdzięczny.

Nadine, która przycupnęła na skraju kanapy, nie do końca jeszcze uwolnionej od pokrowca, sięgnęła po mały biały trójkąt. Riley wiedział, że ona też nie lubi jeść w jego towarzystwie, chociaż ukrywał się przed nią z tą wiedzą w nadziei, że w końcu uda się jej pokonać opory. Kolejna rzecz, za którą powinien być wdzięczny. Oboje w milczeniu wypili odrobinę whisky. Czuł się taki szczęśliwy. Wystarczyło spojrzeć na Nadine, na ten jej krzywy uśmiech, w jej złociste oczy! Ale...

To nasza noc poślubna. Ale...

Nie był w stanie – nie chciał – ująć tego w słowa. Och, cóż za ironia! Gdyby mówił wyraźnie, nie byłoby potrzeby o czymkolwiek wspominać! Gdybym miał normalne usta, nie musiałbym nic mówić, mógłbym po prostu... działać... Popatrzył na żonę i w jego myślach to spojrzenie stało się pieśczętą, dotykiem, zaproszeniem, prośbą... Co miałyby zrobić po takim spojrzeniu? Jak ona mogła na nie zareagować? Odwrócił więc wzrok.

Nadine, równie zdenerwowana, nagle zerwała się z miejsca.

– No cóż... – mruknęła z uśmiechem, po czym ruszyła w stronę drzwi. On też wstał, niepewny, czy iść za nią, czy zostać. Nie miał pojęcia, co robić. Ostatecznie wyszedł do hallu. Nadine, która dotarła już do półpiętra, obejrzała się na niego i rzuciła dziarsko: – Bo wiesz, właściwie to nie ma znaczenia.

Chociaż znał ją tak dobrze, nie potrafił odgadnąć, co chciała przez to powiedzieć. To nie ma znaczenia? Oczywiście, że to ma znaczenie, do jasnej cholery!

Tymczasem Nadine niemal biegiem wpadła do sypialni. Poszedł za nią na górę i przystanął w progu. Znajdowała się gdzieś w głębi, poza zasięgiem jego wzroku; zakładała nową koszulę nocną.

Przeszedł do łazienki, gdzie próbował oczyścić usta bez tego odrażającego sugestywnego odgłosu, a w głowie kłębiły mu się dziesiątki myśli: Powinniśmy byli o tym porozmawiać. Trzeba ją było wcześniej pocałować. Powinienem być się przygotować... siebie... ją... Tylko że jak miałby ją pocałować? Próbował tego wcześniej na własnej dłoni, zupełnie niczym jakiś młokos. Jego wargi dotknęły skóry, ale pozostały martwe. Nie mógł pocałować Nadine – jej ust, piersi, żadnej części jej ciała. A przecież wciąż pamiętał ich pocałunki. Te wspomnienia były prawdziwą torturą.

Kiedy wrócił do sypialni, Nadine leżała już w łóżku, sam też zaczął się więc rozbierać. Dawniej, podczas wojny, rumienili się i śmiali, kiedy niecierpliwie, nieporadnymi palcami zdzierali z siebie nawzajem ubrania: za pierwszym razem gdzieś wśród pól, a potem podczas tamtych cudownych chwil na Victoria Street. Nigdy wcześniej nie widział Nadine w koszuli nocnej, w łóżku. Jego żona. Bezpieczna i tak urocza. Przez zimę jej ciemne, nieujarzmione włosy trochę odrosły i zaczynały się już na powrót wici. Starannie je dzisiaj wyszczotkowała.

Uśmiechała się do niego – czyżby z lekkim niepokojem? Nie chciał, żeby czuła się zdenerwowana z jego powodu. Było dla niego jasne, że nie mogła go pragnąć. Takiego okaleczonego. Bo jakże by mogła?